Nr. 12. We Lwowie dnia 21. marca 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

LECHICI.

Antoni Małecki. »Lechici w świetle historycznej krytyki«. We Lwowie, 1896.

Po długiem błądzeniu po manowcach — doszły obecnie badania nad genezą państwa polskiego do tego upragnionego stadjum, że historja krytyczna zetknęła się ściśle z postulatami naukowymi etno- i socjologicznymi i że skutkiem tego, wszystkie te gałęzie umiejętności mogą dzisiaj w tej, jak zresztą w bardzo wielu innych tego rodzaju kwestjach — współdziałać. Jak się to stało? Oto! umiejętne badania socjologiczne nad kwestją przemiany komun archaicznych w »państwa«, wykazują dość zgodnie, z wliczeniem nawet do pewnego stopnia odmiennej w wielu swych założeniach teorji prof. Dr. Muckego o »hordzie i familji«, że wszelkie upaństwowienie plemion, pozostających przedtem w ustroju komunistycznym rodowym, odbywa się już to pod wpływem najazdów innych — obcych plemion, już też skutkiem konieczności stałej obrony przed najezdcami. W pierwszym wypadku rządem »państwowym« staje się władza najezdców, która obok innych czysto ekonomicznych czynników wpływa na powolniejsze lub szybsze zróżniczkowanie się archaicznej plemiennej własności komunalnej i związanych z nią urządzeń religijno i prawno społecznych; w drugim zaś razie wyłania się z wspólnoty rodowo-plemiennej silna klasa wojowników, broniących się ciągle przed najezdcami, a w następstwie wojownicy ci biorą rząd w swe ręce, czyli w procesie »upaństwowienia« swych własnych plemion odgrywają z małemi modyfikacjami taką samą rolę, jak w innych społeczeństwach — najezdcy. Dowodów faktycznych tj. przykładów na poparcie tej socjologicznej teorji — nader wiele, ale nie tu miejsce, by je wyliczać, ciekawych odsyłamy przede wszystkiem do »Zasad socjologji« Spencera, do »Historji cywilizacji« Hellwalda, Lipperta itp. Upaństwowienia na zasadzie czysto pokojowego różniczkowania się komun archaicznych są nieznane, przeciwnie Morgan na ustroju plemiennym Irokezów wykazał, że nawet najdalej idące zróżniczkowanie się pokojowe komun archaicznych tj. tzw. »federacje plemienne« nie posiadają zasadniczej cechy społeczeństw upaństwowionych tj. władzy, stojącej ponad ludem. Tyle o upaństwowieniu komun plemiennych ze stanowiska socjologicznego. A jakżeż przedstawiają się obecnie czysto historyczne, krytyczne badania nad genezą polskiego »państwa«? Zupełnie zgodnie z powyż wyrażonymi postulatami socjologji. Z jednej strony widzimy »hypotezę najazdu«, bronioną w pierwszym rzędzie przez Dr. Piekosińskiego, z drugiej zaś strony hypotezę samorodnego wytworzenia się państwa polskiego, tj. hypotezę odporu, której głównym przedstawicielem jest prof. Małecki. Dla socjologji jest rzeczą do pewnego stopnia obojętną, która z tych dwóch hypotez ostatecznie zwycięży, bo ona obie je uważa za zarówno dopuszczalne, ale dla krytycznej historji rozstrzygnięcie kwestji genezy państwa polskiego — jest po dziś dzień sprawą naukową pierwszorzędnej wagi. Czy będzie ta sprawa kiedykolwiek stanowczo jasną?

Na podstawie znanych po dziś dzień źródeł — z trudnością. Obecnie — kiedy z jednej strony Dr. Piekosiński wykańcza swą »hypotezę najazdu«, ukazała się na półkach księgarskich książka prof. Małeckiego »Lechici«, która wprawdzie nie zwraca się bezpośrednio przeciw Dr. Piekosińskiemu, to jednak czyni to w sposób pośredni, zbijając dosadnie starą teorję o podwójnym składzie społeczeństwa polskiego z Polaków i — »Lechitów«.

Według mniemania prof. Małeckiego — podwójna nazwa „Polanie" i „Lachy" (Lechici), nie dowodzi bynajmniej dwoistości społecznej. Źródła polskie przed Kadłubkiem znają tylko nazwy *Polonia* i *Poloni*. Nie inaczej wyrażają się o Polsce i Polakach także źródła niemieckie i czeskie, a znanych z Widukinda „Liciravików" należy uważać raczej za Łęczycan, a nie jak mniemano za — Lechitów, Lachów.

„Lachami" (Lechami) nazywa Polaków ruski kronikarz, znany pod nazwiskiem Nestora, bi-

zantyński historyk Kinnamos z XII. w., a za językową odmianę wyrazu „Lech“, należy zdaniem autora uważać „Ledjanów“, nazwę Polaków w Serbji, litewską takąż nazwę „Lenkas“, „Lankas“ i węgierską „Lendjel“.

W Polsce nazwa „Lechitae“ zjawia się dopiero u Kadłubka, który mógł ją zasłyszeć od Rusinów, ale prawdopodobniej zaczerpnął ją — zdaniem prof. Małeckiego — z zaginionej obecnie „Księgi (wrzekomych) listów Aleksandra W-go“, jakie wówczas w literaturze greckiej (byzantyńskiej) pojawiały się, były uważane za autentyki i na które to mistrz Wincenty wyraźnie się powołuje. Z Kadłubka przepisywali następni kronikarze, jak Baszko, t. zw. Mierzwa i dwaj kronikarze szląscy (Chronica Polonorum i Cronica principum Polonorum); nazwa „Lechici“ zyskała w historjografji naszej prawo obywatelstwa obok nazwy „Poloni“, a Długosz, jak zwykle, usnuł na tej podstawie historję bajeczną Polski, zamplifikowaną z Kadłubka i jego przepisywaczy.

W II. części swej rozprawy omawia prof. Małecki „hypotezę lechicką“, streszczając w chronologicznym porządku „lechickie“ poglądy historyków od Lengicha począwszy aż do W. Bogusławskiego. Nazwa „Lechici“ dała, jak z tego przeglądu bezsprzecznie wynika; pierwszy impuls do stworzenia w historjografji polskiej „hypotezy najazdu“, słusznie jednak podnosi autor w „zakończeniu“, że hypoteza ta przybrała obecnie w dziełach dr. Piekosińskiego inną barwę, ściśle naukową i wolną od „mrzonek lechickich“—Czy to rzeczywiście były tylko „mrzonki“?, musi sobie mimowolnie zadać pytanie czytelnik „Lechitów“ profesora Małeckiego. Do historjografji polskiej weszły rzeczywiście „podania o Lechitach“ dopiero wraz z kroniką mistrza Wincen tego, ale Nestor robi bądź co bądź pewien wyłom w zapatrywaniach prof. Małeckiego.

„Gdy bowiem Wołchy (Rzymianie?) naszli Słowian dunajskich — czytamy u Nestora (M. Pol. I. str. 553) i usadowiwszy się między nimi, ciemiężyli ich, Słowianie owi przyszedłszy, siedli nad Wisłą i przezwali się Lechami, a od tych Lechów przezwali się jedni Polanami, drudzy Lechowie Lutyczami, inni Mazowszanami, inni Pomorzanami.“

Bezpośrednio po tym ustępie czytamy: „Tak samo i ci sami Słowianie przyszedłszy siedli nad Dnieprem i nazwali się Polakami, a drudzy Drewlanami, przeto, że siedli w lasach; a drudzy siedli między Prypecią i Dźwiną nazwali się Dregowiczami, inni zaś od rzeczki, która wpada do Dźwiny, a zowie się Połota przezwali się Połoczanami. Słowianie zaś osiedli koło jeziora Ilmenu, przezwali się swojem imieniem (tj. »Słowianami«) i założyli gród i nazwali go Nowogrodem; a drudzy siedli nad Desną i nad Seną i nad Sułą i nazwali się Siewierzanami. Tak rozszedł się naród słowiański, a od niego i pismo nazwano słowiańskiem«.

Znany ten, a tyle ciekawy ustęp Nestora o wędrówce i rozsiedleniu się Słowian na całej przestrzeni późniejszej Polski i Rusi nieraz był już w rozmaity sposób komentowany. ale... w dobrem zrozumieniu go, sądzę — historja krytyczna nie może się obejść bez etno- i socjologji. Nie istnieje wprost dzisiaj żaden czy to etnolog, czy też socjolog, któryby nie zdawał sobie jasno sprawy ze sposobu rozsiedlania się plemion dzikich i barbarzyńskich. Rozsiedlenie takie odbywa się w ten sposób, że rozwodowe plemię wysyła poszczególne rody (czyli, jak je nazywa prof. Mucka, »totemy«), na wędrówkę. Ród (względnie kilka rodów) osiada na dowolnie obranem, przystępnem dlań terytorjum i powoli rozradzając się przetwarza się w nowe plemię, które znów z swej strony pozbywa się nadwyżki swych członków. *Mutetis mutandis* można taki sposób rozsiedlania się nazwać »rozradzaniem się pierwotnych organizmów społecznych za pomocą pączkowania« (Spencer). Czytając zacytowany powyż ustęp Nestora, widzimy przed sobą całkiem wyraźnie taki właśnie proces »pączkowania« u Słowian i to nawet ze szczegółami, bo rzeczywiście rozczłonkowane plemiona zawsze »przybierają nowe nazwy« jużto od zwierząt, czczonych totemicznie, jużto od fetyszycznie czczonych zjawisk przyrody i także — jak to Nestor podnosi — od terytorów tj. od rzek, lasów, gór itp.

(C. d. n.) *Dr. K. J. G*



JAMES SULLY.

Umysłowość ludzka. Z angielskiego tłóm. J. K. Potocki. Warszawa 1987.

(Ciąg dalszy).



Rozpatrzywszy stanowisko autora i przewodnie myśli, jakiemi kieruje się on w swym wykładzie, przystępuję do szczegółowego sprawozdania.

Dzieło Sully'ego składa się z dwóch tomów. Pierwszy poświęcony jest głównie czynnościom umysłowym, drugi — uczuciom i woli. Ponieważ pierwszy dopiero tom został przyswojony naszemu piśmiennictwu, dla tego też na nim tymczasowo ograniczam się w swem sprawozdaniu.

We wstępie zastanawia się autor głównie nad tem, w jaki sposób ma być gromadzony materjał psychologiczny i za pomocą jakich metod materjał ten musi być opracowany, ażeby można było na jego podstawie wyrobić sobie

dokładne pojęcie o naturze zjawisk duchowych i ich prawach. Podług niego punktem wyjścia dla badań psychologicznych jest obserwacja wewnętrzna. Na niej jednakże poprzestawać one nie mogą, lecz muszą jej dane uzupełniać i sprawdzać przez obserwacją zewnętrzną, a gdzie to jest możliwem i przez doświadczenie. W każdym razie obserwacja zewnętrzna nie powinna się ograniczać do objawów ludzkiej świadomości, ale nadto korzystać ze spostrzeżeń, czynionych pod tym względem nad zwierzętami. Do opracowania nagromadzonego w ten sposób materjału służą dwie metody: analityczna, stanowiąca podstawę indukcji i syntetyczna, posługująca się dedukcją. Pierwsza rozbiera życie duchowe na składowe pierwiastki i przeprowadza klasyfikację zjawisk psychicznych, druga — wykazuje, w jaki sposób z pierwszych zaczątków życia duchowego, jakiemi są czucia zewnętrzne, układają się drogą doświadczenia wszystkie nasze myśli, uczucia i chęci. Jakoż dzieło autora składa się z dwóch części: analitycznej, stanowiącej ogólną psychologję, która się zajmuje całością życia duchowego i syntetycznej, czyli psychologji szczególnej, rozważającej oddzielnie zjawiska duchowe podług ustalonej przez analizę klasyfikacji.

Jakkolwiek życie duchowe nie jest nieprzerwanym ciągiem stanów świadomości, gdyż bywają chwile, w których świadomość ustaje, jak np. podczas omdlenia, z tem wszystkiem nie jest ono następstwem stanów, zewnętrznie tylko z sobą połączonych. Przeciwnie zespolone one są z sobą tak ściśle, że tylko we wzajemnem ustosunkowaniu z sobą nabierają znaczenia To też chociaż analiza psychologiczna wyróżnia wśród nieskończonej różnorodności spraw duchowych trzy typowe ich formy, nie należy tych form uważać za oddzielne władze, ale po prostu za różne strony duchowego życia. Myślenie, uczucie i wola nie objawiają się w odosobnieniu, ale wspólnie, z tą różnicą, że raz ta, drugi raz inna strona duchowego życia nabiera przewagi. A jak myśli, uczucia i chęci nie są jakiemiś bytami, tkwiącemi w duszy, lecz czynnościami, mającemi swe uwarunkowanie w psychologicznych procesach mózgowej materji; tak samo i dusza nie jest jakimś bytem, któryby zajmował pewną przestrzeń w mózgu, ale jest czynnością, która tylko w czasie objawia się dzięki warunkom, jakie po temu znajduje dla siebie w budowie mózgu i jego sprawach. Wyróżnienie umysłu, uczucia i woli odpowiada zasadniczym procesom układu nerwowego, w którym nerwy uczuciowe przeprowadzają do mózgu wrażenia zewnętrzne, nerwy zaś ruchowe są przewodnikami, oddziaływania mózgu na odebrane wrażenia. Co się tyczy uczucia, to jego podstawą fizjologiczną stanowi, promieniowanie, że tak powiem, energji, wyzwolonej w pewnym ośrodku mózgowym i jej rozpraszanie się we wszystkich kierunkach, dosięgające ośrodków roślinnego życia.

Pierwszym objawem duchowego życia są postrzeżenia. Postrzeżenia atoli, jak nas uczy analiza psychologiczna, są wytworem umysłu złożonym. Powstaje ono w drodze doświadczenia z objawów prostszych, jakiemi są czucia wogóle, a przedewszystkiem czucia zmysłowe. Czucia więc muszą być uznane za pierwiastki życia duchowego, za pewien rodzaj atomów, z których dzięki kojarzeniu się powstają wszystkie formy duchowego życia w miarę, jak się powiększa zakres doświadczenia. Jakoż w samem już czuciu zmysłowem odkrywamy typowe kierunki duchowych czynności: stronę przedmiotową, jaką jest jego stosunek do zewnętrznego świata i stronę podmiotową, którą stanowi stan przyjemny lub przykry, jaki w świadomości wywołuje; nadto każdemu czuciu towarzyszy zawsze słabsze lub silniejsze napięcie mięśni prążkowanych.

Rozwój duchowy jednostki zależy wprawdzie od osobistego doświadczenia, ale nie bezwarunkowo. Dokonywa się ono na gruncie warunków, jakie przynosi już z sobą na świat organizm ludzki, który jest wytworem dziejowego rozwoju, odziedziczającym po najdalszych swych przodkach ostateczne wypadki ich doświadczeń. Warunkami temi są pewne ukształtowania nerwowego układu, usposabiające go do takiego lub innego odziaływania na zewnętrzne czynniki, uzdolniające go do niższego lub wyższego stopnia rozwoju. Warunki te są właśnie naturalną podstawą tych samorzutnych objawów duchowych, które nazywamy instynktem, skłonnościami, zdolnościami itd.

Wszystkie sprawy duchowe w podstawie swej są automatyczne. Stają się one dowolnemi dopiero w wyższych stadjach rozwoju w miarę, jak się powiększa zasób doświadczenia, a tem samem rozszerza się zakres świadomości. Świadomość staje się wtedy czynnikiem, który zapanowuje nad odruchami i nadaje oddziaływaniu przyrodzonemu kierunek, jaki ona uznaje za bardziej odpowiadający sobie. Staje się ona takim czynnikiem dzięki uwadze, która polega na tem, że świadomość skierowuje się i zatrzymuje się nad tem, co ją w danej chwili bezpośrednio najżywiej obchodzi. Uwaga czyni świadomość zdolną wyboru; jakoż temu jednemu tylko zawdzięcza ona możność ciągłego rozwoju i coraz dokładniejszego przystosowania się do warunków otoczenia, a zarazem przystosowywania tych warunków do własnych potrzeb. W czynnościach nałogowych, ujętych w pewną rutynę, świadomość zanika, gdyż jej wyborowi nic się nie zostawia — i człowiek przemienia się wtedy w bezmyślny automat, jeżeli przedtem nawet był czemś więcej. Jakoż z powodu ważnej roli, jaką uwaga odgrywa w duchowym rozwoju człowieka, wbrew przyjętemu zwyczajowi, od niej rozpoczyna autor swój wykład o czynnościach umysłowych, zastanawiając się szczegółowo nad tem, co stanowi jej istotę, jakie są warunki jej działania i udział we

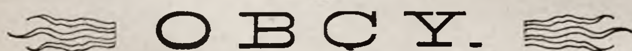
wszystkich sprawach poznania. Uwaga należy do punktów psychologji najmniej wyjaśnionych. Jedni widzą w niej czynność czysto odruchową, drudzy uważają ją za objaw wolnej woli. Nasz autor zajmuje stanowisko pośrednie. Upatruje on w uwadze czynność świadomości, która się skierowuje ku temu, co ją najbardziej obchodzi, co zostaje w najbliższym stosunku z jej treścią. Uwaga podług niego jest objawem woli i jej istota polega na otamowaniu wszelkich czynności duchowych z wyjątkiem jednej, w której ześrodkowuje się cała jej energja. Przypuszcza on pewien ośrodek w mózgu, dzięki któremu dokonywa się to otamowanie.

(Dok. nast.). *Władysław Kozłowski* (Lwów)



MICHAŁ WOŁOWSKI.

OBCY.



OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

— Potrosze! Czy ty wiesz, czem jest dla człowieka szerszej myśli siedzieć na stacji pocztowej, być najmitą, wynajmować konie, zapisywać ekstra poczty i wymyślać pocztyljonom? Sprobój, a przekonasz się dopiero, co to za rozkosz chwila zapomnienia o wszystkiem, stan niebytu. Powiadasz, nic się nie zmieniło, to powiedz sobie, żeś głupi, zmieniło się wszystko, a jeśli sądzisz inaczej, to się powieś... albo zabieraj się do kortoflanki, jak ja. Nie będę ci nic mówił. Kiedy ujrzysz Zieloną, sam zrozumiesz, że dzisiaj tak żyć można tylko, jak ja żyję, albo nie żyć wcale. Takimi, jak byliśmy niegdyś, w młodości, gdybyśmy chcieli teraz pozostać, bylibyśmy obcymy śród społeczeństwa, które odbyło ewolucję pewną, przekształciło się do szpiku kości, innem dzisiaj jest, niż było. To włóczyłeś się po świecie, więc nie wiesz o tem wszystkiem, jam na to patrzał, z tem żył, dlatego pozostaniesz tu »obcym«, gdy ja będę tem, czem być powinienem... No, nie pijesz?... to nie pij!... — To mówiąc nalał sobie szósty kieliszek i z równą skwapliwością go wypił, jak poprzednie.

Tyniecki już nic nie mówił, głowę tylko oparłszy na ręku, patrzył w twarz towarzysza, która teraz inny na sobie nosiła wyraz i zadumał się głęboko.

Panu Antoniemu język się rozwiązał, opowiadał więc wszystko, co mu ślina do ust przyniosła; o jakiejś zawiedzionej miłości, zawiedzionych planach, zmianach, zaszłych w okolicy, śród kolegów dawnych, nie dotykał tylko ani półsłówkiem Zielonej, o którą może najwięcej chodziło jego gościowi, ani stosunków, jakie tam obecnie panowały.

Zajęty wspomnieniami młodości, Tyniecki też o Zielonę nie pytał, dopiero gdy już wszystkie prawie wydobył wiadomości z gadatliwego towarzysza, rzekł:

— A dlaczegóż nic mi o Zielonej nie wspominasz?

— Pojedziesz, zobaczysz.

— Staś gospodaruje dobrze?

— Fiu! fiu!..

— Nie lubi pisać listów, krótkie tylko i lakoniczne odbierałem od niego podczas mego pobytu za granicą.

— Istotnie rzadko przynoszą od niego listy na pocztę.

— Nie myśli się żenić?...

Pan Antoni podniósł głowę, zaszłe mgłą oczy starał się przytomnemi uczynić, chciał coś rzec, ale język mu posłuszeństwa odmówił. Na stoliku głowę ułożył i chrapnął tak gwałtownie, że zamyślony i rozważający to wszystko, co usłyszał, Tyniecki, drgnął i z miejsca się podniósł.

Dawny jego kolega ani myślał teraz o rozmowie; we śnie alkoholicznym marzyły mu się jakieś piękne obrazy, bo się do nich uśmiechał i mruczał niezrozumiałe słowa.

Tyniecki chodził po pokoju, od czasu do czasu chwytał się za piersi, pocierał silnie czuprynę, spoglądał na chrapiącego towarzysza i krzywił się, smutny. Gdy zegar pocztowy wskazał pierwszą po północy, i gdy pan Antoni przebudzić się nie myślał, podszedł ku niemu, wziął na ręce, jak dziecko, na kanapie ułożył, a sam usiadł na jego miejscu

Lampa naftowa dopalała się już i poczęła gasnąć, w domu słychać było tylko systematyczny, miarowy chód zegara, na dworze zaś świst szalejącej zadymki.

Tyniecki zasnąć nie mógł, gdy już i światło znikło, myślał tylko nad tem, co usłyszał z ust pijanego kolegi i nad tem, jaki widok nowy czeka go jutro — w Zielonej. Tak dobił szarzejącego dnia i z tą samą gorączką, z jaką wstępował wczoraj do stacji, zerwał się teraz z miejsca, aby obudzić pana Antoniego i zażądać ekstrapoczty do celu swej podróży.

Pan Antoni wstał teraz takim, jakim go ujrzał Tyniecki, po przyjeździe, nie mówił nic, nie wspominał o wczorajszej rozmowie, tylko zadysponował konie, pobrał od kolegi należne za nie pieniądze, kwit odpowiedni mu wystawił i mruknął:

— Jedź!

— Bóg z tobą!... zobaczymy się przecież jeszcze nieraz i pogadamy obszerniej, nieprawdaż?

— Mam nadzieję!

Tymczasem Tyniecki włożył już futro, żywo wskoczył do sanek, gdy, jakby sobie przypominając coś, pan Antoni wypadł za nim przez sień.

— Aha! — zawołał.

— Chcesz czego?

— Jeżeli... uważasz... będzie ci tam bardzo niedobrze w tej Zielonej, to wracaj tutaj, poradzimy!

— Oszalałeś?

— Może!... Ruszaj! — zawołał na pocztyljona, który też żywo zaciął konie i z miejsca galopem popędził.

Zadymka już ustała, na zasypanej jednak bocznej drodze, śladu stopy ludzkiej nie było widać.

Pocztyljon gadatliwy odwrócił się do pasażera i wskazując na zachodni horyzont rzekł:

— Ziąbu niema, ale zadymka jeszcze będzie, ustała tylko na chwilę, spieszyć się trzeba.

— To się śpiesz! Im prędzej staniesz, tem i napiwek będzie większy.

Dzięki tej obietnicy sanki pomykały coraz żwawiej.

— Jasny pan pierwszy raz do Zielonej?

— Po dwudziestu latach, pierwszy!

— A jasny pan znał starego pana Tynieckiego?

— A jakże, znałem!

— Dobre to było panisko. Teraz w Zielonej inaksze za młodego pana porządki!

— Inaksze, powiadasz?

— A inaksze!

— Jakże dawniej bywało!?

— Dawniej, gdy wypadło z ekstrapocztą jechać tam, to człekowi aż dusza się śmiała, przyjęli człeka dobrze, koniom owsa, pocztyljonowi dobre jadło dali, a i wódki dobrej nie brakło. Dzisiaj inne czasy. Trzeba z sobą za pazuchę chleb, a do wózka owies zabierać, nikt dobrego słowa tam nie da i psami wyszczuć grożą, skoro się człek z powrotem ociąga.

Tyniecki niespokojnie poruszył się na siedzeniu, przecież nic pocztyljonowi nie odpowiedział i odbiegła go ciekawość wypytywać dalej o Zieloną.

Pocztyljon parę razy przemawiał, ale nie zyskując odpowiedzi, w końcu już tylko do siebie pomrukiwał.

Koniki śmigały żwawo, Tyniecki więc tylko wzrok wytężał, aby obejrzeć krajobraz, który tak dobrze utkwił mu w pamięci ze wspomnień dzieciństwa.

Do tego krzyża przy drodze biegał zawsze, gdy ojciec miał z podróży przyjechać, aby go pierwszy uścisnąć; po tamtej drodze często na koniu harcował; tam stał nad żniwiarzami, ówdzie zwoził podczas wakacji zżęte już zboże, a tuż zaraz za górą był las gęsty, do którego z fuzyjką chodził, zające strzelał i uczył się podziwiać naturę, słuchać i rozumieć szum lasów i świergot ptasi.

Żywiej zabiło mu serce jeszcze niż przedtem gdy konie, idąc pod górę, zwolniły biegu.

(C. d. n.).



Błędy językowe.

10. Przed *który* w zdaniach wtrąconych umieszczać należy tylko części mowy nieodmienne; dobrze więc jest: »człowiek, przeciw któremu...«, ale źle: »człowiek, syn którego...«; powinno być: »człowiek, którego syn...«.

11. *Schemat, schizma* mają *sch*, pochodzące z greckiego *sch* i nie powinny się wymawiać z nienacka przez *sz*, więc też pisać należy *sch*, ale nie *szemat, szyzma*, bo tak samo wymawiamy i piszemy *scheda, scholastyk*, ale nie *szeda, szolastyk*.

12. »W pierwszej linji«, albo »w pierwszym rzędzie«, zamiast *przedewszystkiem, nasamprzód*, co jest giermanizmem.



Ze śląskiej ziemi.

(Ciąg dalszy).



Dobra Raj, odwieczna posiadłość książąt śląskich, w obce przeszły ręce — wraz z sąsiednim Frysztatem — w końcu szesnastego dopiero stulecia, po śmierci Fryderyka Kazimierza. Sprzedano je dla zaspokojenia licznych wierzycieli tego rozrzutnego księcia. Obecny natomiast ich właściciel, Niemiec, baron Bees może się nie obawiać wywłaszczenia: zbyt umiejętną ręką umie on czerpać z bogatej skarbnicy ziemi śląskiej, aby ruina materjalna mogła mu kiedykolwiek zagrozić. A jedną z pokaźniejszych rubryk dochodów barona stanowią darkowskie źródła mineralne.

Przypadek, któremu ludzkość zawdzięcza lwią część odkryć i wynalazków, naprowadził przed trzydziestu kilku laty poszukiwaczy węgla kamiennego w tej okolicy na owe źródła, bogatsze w jod i brom, niż którekolwiek ze znanych dotąd uzdrojowisk europejskich tego typu. Dzięki tym własnościom leczniczym, wody darkowskie pozyskały szybki rozgłos, a lekarze wysyłają tu najcięższą niemocą dotkniętych biedaków, co nadaje zakładowi posępny wygląd szpitala.

I teraz oto, krążąc po starannie utrzymanym parku zakładowym, spotykamy co chwila już to dzieci, już dorosłe osoby, nacechowane wyraźnem

piętnem chorób skrofulicznych lub naskórnych. Marnie też wygląda tutaj, w otoczeniu świeżej zieloności, dumny »pan stworzenia«. Bóle ludzkiego świata, jego bezsilność, jego niedola tworzą tak jaskrawy kontrast ze słonecznem weselem natury, że doznajemy wrażenia ulgi, pozostawiając za sobą park wraz ze smutnymi kuracjuszami i z tym lewkiem, wyglądającym na pudla, z którego paszczy wytryska strumień wody o przykrym zapachu, — wody zgoła niepodobnej do kryształowych fal górskich potoków.

I znowu wzrok nasz tonie w świetlanych, barwnych przestworach. Okolica, którą idziemy, swojskie ma dla nas oblicze. Te leśne pagórki, zielone łąki, pola malowane zbożem rozmaitem uprzytomniają nam żywo krajobrazy rodzinnych stron, uwiecznione w »Panu Tadeuszu«. Złudzenia dopełniają szczebioty ptasząt, stroniących od zimnych, ciemnych lasów górskich, — słomiane strzechy, poraz pierwszy spotkane na Śląsku, oraz same chaty, budowane wedle typu najczęstszego w Polsce: z frontową ścianą zwróconą ku drodze, sienią na przestrzał, ś w i e t n i c ą po jednej, — a komorą po drugiej stronie.

Zamek natomiast mniej nas zachwyca. Nowożytna, ogromna, ciężka, koszarowy styl naśladująca budowa nie przypomina w niczem raju. Poetyczna ta nazwa należy się chyba jego ogrodom i parkowi o pysznych alejach grabowych, w których stale panuje chłodny, tajemniczy mrok, jak pod sklepieniem gotyckich świątyń.

Niemniej godnym raju, ale raju Mahometa, wydał się nam cudnej piękności rumak, któregośmy oglądali w stajniach zamkowych. Ciasno i duszno musiało być w murach synowi roztworzystych stepów Arabji, tęskno bez towarzyszy potomkowi tabunowych ojców, więc zwracając ku nam od żłobu zgrabną głowę, rżał cichą skargą na wrogie losy, które go trzymają na łańcuchu, każą mu dźwigać niemieckich baronów, — jemu, co z bujnym wichrem mógłby iść w zawody! A wyprowadzony na słońce i powietrze dopieroż pokazał całą energją ognistego temperamentu! Rwał ziemię niecierpliwem kopytem, stawał dęba, ciskał się w górę, opadał na ziemię w lekkich skokach, rżał dźwięcznym, donośnym, wzruszonym glosem, jakby chciał, aby go daleka słyszała ojczyzna, jakby rzucał dalekim echom wezwanie, okrzyk bojowy, hasło...

Tak wyglądać musiał ów rumak, na którym farys Balińskiego, trawiony żarem tęsknoty do nieba i słońca gonił niegdyś stepami, — bo rasa farysowych rumaków nie wyginęła dotąd, ale czy są jeszcze tacy gońce »z myślą w słońce zwróconą i z tem ramieniem młodzieńczem, hardem, co krawędź nieba z krawędzią świata sili się spoić, — wierząc, że zbrata?« — czy są jeszcze tacy gońce?

O farysach dumając i orlich lotach, szliśmy dalej, skromni, piesi pielgrzymi — cienistą aleją kasztanów, usypaną odpadkami kamiennego węgla z pobliskiej Karwiny.

Pierwszym głosem, który nas dobiegł z Frysztatu, były dźwięki nieszpornego dzwonu. Zbudziły one w pamięci towarzysza naszej wędrówki, p. Górniaka z pod Cieszyna, opowieść o dawnym, legendowym dzwonie, która brzmi jak następuje:

Przed wielu wiekami, w pobliżu miejsca, gdzie teraz wznosi się Frysztat, stało inne miasto. A największą jego chlubą był dzwon katedralnego kościoła, o dźwięku tak donośnym, że słychać go było na kilka mil wokoło. Zdarzyło się, że pożar zniszczył tamto miasto doszczętnie, a ciężki dzwon, spadając z wysokości, zarył się w ziemię bez śladu. Po klęsce obywatele spalonego miasta opuścili miejscowość, z którą smutne wiązały się dla nich wspomnienia i założywszy — opodal od dawnych — nowe siedziby, dali początek dzisiejszemu Frysztatowi. Minęły dziesiątki lat. O dawnym dzwonie zatarła się pamięć. A dokoła miejsca, gdzie go ziemia pochłonęła, nie odprawiały tańców przy blaskach księżyca powiewne elfy, nie wabiły tam ludzi urocze rusałki, ani też rodzime śląskie nocnice, natomiast pasała się tam w biały dzień trzoda chlewna i jedna właśnie z jej przedstawicielek, szukając w ziemi soczystych korzonków, odgrzebała świecące ucho dzwonu... Z ciemnicy wyprowadzony olbrzym zawisnął znowu w błękitach i spiżowem sercem donośnie przemawiał i dziwnym czarem słuchaczy czarował. Nie oparła się jego urokom i najdostojniejsza na Śląsku osoba, piękna księżna z cieszyńskiego zamku. Dziwne, rozkoszne i rzewne uczucia budziły w jej piersi dźwięki, dalekiem przynoszone echem. Zapragnęła więc posiąść dla stolicy księstwa sławny dzwon i nie cofnęła się przed wygórowanem żądaniem obywateli Frysztatu, którzy chcąc zatrzymać u siebie dzwon, postawili za warunek, aby drogę, którą miano go przewozić z Frysztatu do Cieszyna, wybrukowano talarami i aby owe talary przeszły na własność ich miasta.

Z wielką paradą jechał dzwon bitą srebrem drogą, z wielką paradą zawieszono go potem na cieszyńskiej dzwonnicy. Ale serce jego, chociaż spiżowe, umiało jednak tęsknić za skromnym zakątkiem ojczystej ziemi, gdzie poznało cierpienie i trjumf, ponęty sławy i słodycz życzliwości ludzkiej. I oto pewnej jasnej nocy pobożne kumoszki cieszyńskie ujrzały szczególne zjawisko. Ogromny jakiś przedmiot, błyszczący, jak meteor, w księżycowym blasku, leciał z hukiem, unosząc się wysoko ponad domami, w kierunku północno zachodnim, w kierunku Frysztatu. Był to buntowniczy dzwon. Wracał na starą swą wieżę, do gniazda — i nie dał się już stamtąd wziąść.

(C. d. n.). *M. Wysłouchowa.*



Na Syberji.

(Ciąg dalszy.)

II.



Jak wielki dochód daje transport towarów, świadczy następujący rachunek: z Tomska do Irkucka normalna płaca za przywiezienie jednego puda towaru wynosi 3 rub. 50 kop, z powrotem znowuż płacą mu 3 rub. 50 kop., za przewiezienie puda herbaty, a więc wogóle transportujący pobiera 7 rub. za pud; ponieważ zaś każdy woźnica posiada 5 koni (fur) (ustawa traktowa nie pozwala mieć więcej), dobry zaś koń pociągowy (a takich tu tylko używają) może dźwigać około 60 pudów ładunku *(maximum)*, więc zarobek całkowity równa się 5×60×2×3 r. 50 k. = 2,100 rubli! Nic więc dziwnego, że niektórzy z tych fachowców gromadzą spore kapitały.

Sybirak rozmiłowany jest w tych nieskończonych podróżach zbiorowych i bez walki nie odda tego rodzaju zarobku nikomu. Praca to łatwa i niezbyt nużąca; dzisiaj też trudno przewidzieć, co poczną dziesiątki tysięcy ludzi, gdy zupełnie uorganizowana kolej zabierze im wszystkie transporta. Obecnie zaś jesteśmy świadkami arcyciekawej konkurencji konnego transportu z kolejowym; kolej bowiem obecnie pobiera za pud przewiezionego towaru z Tomska do Krasnojarska 65 kop, a właściciele podwód 50 kop.. Przewóz końmi zatem obecnie bierze górę ku wielkiej uciesze Sybiraków, którzy nawet wierzyć nie chcą, aby kolej mogła kiedykolwiek spełniać należycie swoje przeznaczenie.

W czasie zwiększonego ruchu transportowego, jak to właśnie dzieje się teraz skutkiem potrzeby sprowadzenia narzędzi i przedmiotów, potrzebnych do budowy koleji, (a ruch ten panuje latem i zimą) miejscowi rolnicy zaprzestają uprawiać ziemię, widząc zyskowniejszy, mniej trudny i mniej ryzykowny zarobek. Na miejscu pozostają tylko starcy, dzieci i kobiety (często nawet i te ostatnie wyruszają z transportami), oraz ci, którzy, liczą na pewny lub wielki zarobek, to jest przeważnie, hurtownicy skupujący produkta miejscowe i inne dla iście rabunkowego późniejszego handlu.

Muszę się tu zastrzedz, że w opisie tym mam na względzie jedynie przydrożnych zdemoralizowanych mieszkańców; mieszkańcy zaś »tajg« myśliwi (Karagazi, Burjaci, Tunguzi) i ci osiedleńcy, którzy mieszkają zdala od traktu i miewają stosunki tylko handlowe z ludem przydrożnym, zupełnie są innego usposobienia; widocznie majestatyczna choć surowa przyroda oddziaływa na nich dodatnio. Głównem ich zatrudnieniem jest myśliwstwo, a rezultaty jego dowodzą, iż rzemiosło swoje spełniają z wielką energją, zręcznością i sprytem; nędzną bronią (berdanka, a często łuk) zabijają niedźwiedzie, rysie, *iziubry* (rodzaj jelenia), sarny, sobole itp. Corocznie płacą »jassak« (podatek) skórami i sprzedają je tutejszym handlarzom, którzy w stosostosownej porze tłumnie wyjeżdżają na spotkanie obywateli »tajg«. Rzadki myśliwy przywiezie celem bezpośredniej sprzedaży skóry do wsi lub do miasta — handlarz bowiem pod pozorem przyjaźni, znajomości lub wreszcie za wódkę wyłudza zdobycz od naiwnego właściciela.

A okazy skór bywają bardzo piękne. Pokazywano mi skórkę sobola, czarną jak heban, ze srebrzystym miejscami włoskiem; są tu również lisy zupełnie czarne.

Słów kilka o handlu tutejszym:

O racjonalnym handlu, jako o jednym z czynników działalności kulturalnej, ludność tutejsza nie ma najmniejszego pojęcia. Istnieje tu liche kramarstwo; każdy handlarz powoduje się ogólno-syberyjską dewizą — »korzystaj z wypadku«. Ceny zmieniają się bez żadnej poważniejszej przyczyny.

Innego handlu ponad ten, który daje conajmniej 100% zysku, nie uznaje Sybirak. Handlarze są pod tym względem bardzo solidarni. Towar sprowadzają oględnie w małej ilości i w najlichszych gatunkach, często zepsuty i nieużyteczny. A jednak są przedmioty, które już nazajutrz po nadejściu transportu bywają rozchwytane, handlarz więc takie osiąga zyski, jakie zechce. Jeśli zdarzy się, iż »towar idzie« nadspodziewanie, ceny natychmiast rosną. Wszelkie hurtowe tranzakcje kupcy tutejsi ułatwiają w Moskwie i w Niżnim-Nowgorodzie, gdzie nabywają najlichsze, wybrakowane, a często zupełnie zepsute towary, noszące tam nazwę »towaru sybirskiego«, przytem, rozumie się, handlarz kupuje tylko przeważnie to, co mu przynosi zysk największy, nie troszcząc się bynajmniej o zaspokojenie potrzeb średnio kulturalnego człowieka.

To też znosimy tu tysiące najrozmaitszych niewygód, o których wy nawet wyobrażenia nie macie. Nieraz więc próbujemy walczyć z kramarzami, sprowadzając bezpośrednio przedmioty pocztą z kraju, choć przesyłka bajecznie drogo kosztuje, bo 70 kop. za funt.

Nasze wielkie pozornie pensje wprost nie wystarczają na utrzymanie wobec olbrzymiego wyzysku przez żywioł miejscowy i strasznej drożyzny; wielu więc z nas doznało rozczarowania.

Dla poparcia tego cyframi, przytaczam obecne ceny produktów spożywczych w Niżnieudińsku i okolicach: worek mąki pszennej pytlowanej II gatunku kosztuje tu 33—25 rub., pud mięsa 4—8 rub., funt cukru 30 kop., funt nafty 16—18 kop., funt lichych świec stearynowych 35 kop., cytryna 30—40 kopiejek jabłko (rzadkość) do

40 kop, garnek gliniany 30—40 kop., inne produkta mniej więcej w odpowiednim stosunku. Drzewo nawet na opał ostatniemi czasy podniosło się w cenie do niesłychanych rozmiarów, choć materjał żadnej tu ceny nie ma, bo na olbrzymie lasy patrzą tu, jak na własność ogólną, jak na powietrze lub wodę. Robocizna, dla braku rąk, bardzo tu droga; prosty robotnik miejscowy, leniuch i nieudolny, nawet w krótki zimowy dzień otrzymuje do 150 kop., cieśla 2 rub., stolarz, kowal 3 ruble. Naturalnie, że przy budowie koleji posiłkujemy się niemal wyjątkowo sprowadzonym robotnikiem europejskim, który z opłatą przewozu i utrzymaniem strasznie drogo kosztuje. Ale jedyna to siła wytwórcza w wielkiej sprawie budowy tej trudnej koleji, — na miejscową pracę nikt tu nie liczy, to też prowadzenie robót nadzwyczajne pociąga koszta.

Klimat tutejszy górski bardzo zdrowy, zimy jednak bywają surowe. Przeszła zima była prawie tak łagodna, jak u nas w Warszawie, obecna zaś bardzo jest mroźna, już bowiem w listopadzie mieliśmy mrozy 30° R., obecnie zaś sięgają 40, a w styczniu i lutym dochodzą i do 45° R.

Wiosna zaczyna się tu w końcu maja, roślinność szybko się rozwija, pola i łąki w ciągu paru tygodni pokryte są wybujałą zielonością, gleba bowiem tutejsza jest bardzo żyźna, najmniejsza nawet uprawa przynosi obfity plon. Warzywa także udają się dobrze, wszystko w oczach niemal rośnie, aby w ciągu krótkiego czasu (do końca września) zakończyć cały proces swej wegetacji. To też należy się śpieszyć z uprawą i ze zbiorami.

Plagą tutejszego kraju są pożary leśne i »meszka«.

Po zejściu śniegów niewiadomo kto: włóczęgi, czy też sami krajowcy zapalają las. Lud miejscowy uważa taki pożar za pożyteczny, przypuszcza bowiem, że później trawa lepiej rośnie. Tymczasem ogień niszczy tysiące dziesięcin lasu, mnóstwo ptactwa i zwierzyny. Dym i unoszący się popiół nieraz zasłaniają blask słońca, napełniając powietrze czadem; niekiedy przy odpowiednim wietrze pożar zbliża się do wsi, a wówczas i jej grozi zagłada. Dopiero też w takiej ostateczności bywają podejmowane zapobiegawcze środki, zwykle jednak bez skutku.

W roku ubiegłym kolej Środkowo-Syberyjska z powodu tych pożarów poniosła olbrzymie szkody, aczkolwiek na płaszczyźnie wyciętej dla toru materjał budowlany składano pośrodku, a gałęzie w zimie spalono itd. Ostrożności te na nic się nie przydały, gdyż ogień przerzucał się z jednej strony wyrębu na drugą, na odległość 30 sążni!

Inną plagą tutejszą jest »meszka«; jest to rodzaj małej muszki, nieznanej w Europie, wielkości ziarnka gorczycy. Meszka ta zjawia się w ogromnej ilości, skoro tylko nastaną dni ciepłe; od ukąszeń jej ciało niknie i jątrzy się. Najwytrwalszy europejski robotnik nie jest w stanie dotrzymać placu tym napastnikom. Zarówno krajowcy, jak i przybyli Europejczycy bronią się od natrętnego owadu za pomocą siatek tiulowych lub włosiennych, w formie worka narzuconego na głowę; prócz tego rękawy i kołnierz muszą być szczelnie zawiązane, bo owad dostawszy się pod odzież zadaje bolesne ukłócia.

Meszka ta stanowi wielką przeszkodę w naszych robotach; nieraz się zdarzało, iż na wiosnę owad ten długo się nie zjawiał, nieoględni więc kierownicy robót nie zaopatrzyli wcześnie swoich robotników w siatki. Gdy zaś meszka ukazała się nagle, robotnicy uciekali, rzucając roboty, musiano natychmiast kupować tiul, a chciwe kupiectwo tutejsze, korzystając z ludzkiej biedy, kazało sobie płacić za arszyn po 1 rub. 50 kop.

Z wielką niecierpliwością oczekujemy wszyscy chwili, gdy zwiastun cywilizacji — lokomotywa, zagwiżdże wreszcie u nas: będzie to głos pogrzebowy dla tutejszych nieuczciwych spekulantów, a dla nas rozpocznie się nowe, znośniejsze życie. Mamy nadzieję, iż chwila ta nastąpi w końcu 1897 r., obecnie bowiem do samego Niżnieudińska tor kolejowy (roboty ziemne) prawie ukończony, roboty mostowe i kanałów sklepowych szybko się posuwają naprzód.

(Dok. nast.).

Juljan Kossowski
inżynier - technolog.



MIKROFONOGRAF.

Ogromnej doniosłości wynalazek udało się zrobić p. Franciszkowi Dussand, profesorowi genewskiego uniwersytetu. Wynalazł on aparat, który nazwał »mikrofonograf«, a który tem się ma stać dla ucha, czem dziś jest dla oka szkło ppwiększające i mikroskop. Pochwytuje on bowiem najlżejsze szmery i czyni je dla ucha słyszalnymi. Nowy ten wynalazek stanowi aparat, składający się z dwóch części: z fonografu, który pochwytuje szmery, i z aparatu, który zwiększa ich intensywność, a następnie je powtarzą. Położywszy mikrofonograf na piersi człowieka, usłyszeć można dokładny rytm bicia serca, aparat bowiem pochwytuje najlżejsze jego uderzenia i produkuje je później głośno i wyraźnie. Wynalazca pracuje obecnie nad udoskonaleniem swego aparatu do tego stopnia, ażeby nawet proces myślenia uczynić dosłyszalnym. Kiedy człowiek myśli, przypływa silniej krew do naczyń mózgowych, a przypływem krwi wywołany szmer ulepszony ten aparat ma pochwycić i oddać. Aparat ten odda ogromne usługi głuchoniemym, P. Dussand twierdzi bowiem, że aparat do tego stopnia ulepszy, iż zaopatrzone nim słuchawki umożliwią nawet głuchoniemym rozróżniać tony i głos ludzki.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie